



Podróż, a raczej skok w tył

Fahrenheit Crew



Mirosław Żamboch

Łowcy

Tlum.: Rafał Wojtczak

Fabryka Słów 2010

Stron: 552

Cena: 34,99 zł

Snobizm w przyszłości sięga granic absurdu. W czasach kolonializmu dumni i poparzeni słońcem Brytyjczycy zwozili z wypraw słoniowe ciosy, strusie pióra w kapeluszach. Najeźdźcy w Amerykach skalpowali czerwonoskórych, albo na odwyrtkę. W trakcie wojen światowych zwożono do domu dobra wszelakie, uznane za zabytki podbijanej kultury. Obecnie cenione są trofea z gatunku mody i napojów wysokowych. W przyszłości nie istnieje już nic, czego znudzony życiem bogacz nie mógłby zamknąć w gablocie. Jedyna droga wiedzie w przeszłość.

Za sprawą przypadku fizyk teoretyk, Mark Twilli, odkrywa obustronny wektor podróży do mezozoiku. Otwiera to nowe możliwości i, jak to zwykle bywa, nowe zagrożenia.

Bardzo szybko okazuje się, że snobistyczna wyprawa myśliwska zmienia charakter, i to - nomen omen - katastrofalnie. Prawdziwymi łowcami okazują się bowiem mieszkańcy prehistorycznej Ziemi, którzy na równi z ludźmi cenią sobie skóry. Zwłaszcza te na własnym grzbiecie.

Najdoskonalsza technologia i wielkokalibrowa broń okazują się buble przy tubylczych zębach i pazurach. Żamboch z dziką satysfakcją udowadnia, że nie liczy się rozmiar, a o dinozaurach wiemy tyle, co pokazał nam Spielberg w wariacjach na temat Parku Jurajskiego i Terra Novy. Żamboch wie więcej i umiejętnie potrafi to pokazać.

Zupełnie inaczej ma się sprawa z fabułą.

Książka konwencją bardzo przypomina mi historię Raya Bradbury'ego *The sound of thunder*. W pierwszym odruchu dałabym sobie odciąć dowolną część ciała, że czytam jej czeski odpowiednik. Ale na szczęście tak nie jest. W przeciwieństwie do tamtej opowieści, u Żambocha historia po pewnym czasie ładnie pączkuje, wypuszcza nowe wątki i ewoluuje w nieoczekiwanym kierunku. Zdziwi się

ten, kto po pierwszych stu stronach wciąż oczekuje nieskomplikowanej przygody jak spod pióra Szklarskiego albo Verne'a. Bardzo szybko znika metka zwykłej przygodówki, jej miejsce zajmuje istna szkoła przetrwania. Pojawia się flaczaste gore i wątek science-fiction. Jednak walające się pod nogami mięcho, bryzgające naokoło hektolitry posoki i wielokalibrowe kanonady nie są jedynymi walorami opowieści.

Chwała Autorowi za bohaterów: pozbawionego heroicznego umiejętności komputerowego geeka, foszaste, arystokratycznie znudzone i z lekka wyidealizowane paniusie, cholerycznego Wirgana, tajemniczego Grimkova, naukowego do szpiku kości Palfreya. Każda postać jest inna, każda rozwija się w innym tempie i w innym kierunku. Niektóre nie rozwijają się wcale. W żołądkach dinozaurów nie ma na to miejsca.

Oprócz bohaterów, Żamboch zasługuje na brawa za klimat opowieści i plastyczność tła.

Z przyjemnością czytałam opisy dżungli, wypełnione rykami potworów, razem z bohaterami wdychałam wulkaniczne dymy i opary, przedzierałam się przez sawanny, pogórze i rzekę.

Smaku dodają naukowe i technologiczne drobiazgi, podawane mimochodem - na temat pogody, klimatu, broni, samochodów, potrzeby budowania platformy, sposobu polowania. Autor udziela odpowiedzi, zanim jeszcze czytelnik zda sobie sprawę z nurtującego go pytania.

Nie ma jednak dinozaura bez zębów. Są i mankamenty.

Drażniący dla mnie był skład powieści. Czcionka na fabryczną modłę - wielka i rozstrzelona, marginesy zajmujące niemalże pół strony. Gdyby je zmniejszyć, a w zamian też rozciągnąć format, książka byłaby znacznie poręczniejsza, mniej ceglasta. Nic mnie tak nie irytowało, jak wieczne zamykanie się okładek, samoistne przewracanie kartek, wypadające zakładki i marna jakość papieru, z tendencją do zaginania na rogach.

Ale to już technikalia, nie

rzutujące na samą opowieść. Ta natomiast, na moje niewprawne oko, jest nierówna, momentami przydługa, a gdy w końcu eksploduje akcją, jest to dosłowna eksplozja. Mnóstwo zdarzeń o niewielkiej zawartości zdań, rozpryski widziane z różnych ujęć kamery, ewentualne wyjaśnienia i znów spokojne wody opisów. Na szczęście im dalej, tym już lepiej. Tej akcji, znaczy, nieco więcej i jakoś tak bardziej uporządkowana.

Także główne rozwiązanie fabularne zahacza o nieprawdopodobieństwo, nie każdemu może podejść. Ciężko mi jednoznacznie określić czy było konieczne, bo powoduje, że końcówka jest absolutnie zaskakująca. Ciąg dalszy nastąpi... No, na wściekłego gigantozaurusa! Jak tak można? Właśnie w momencie, gdy cała koncepcja wywinęła tak spektakularnego kozła?!

Czekam więc, czy ciąg dalszy to obietnica, czy może groźba.

Anna E. Walczak